

Agnieszka Gątarczyk

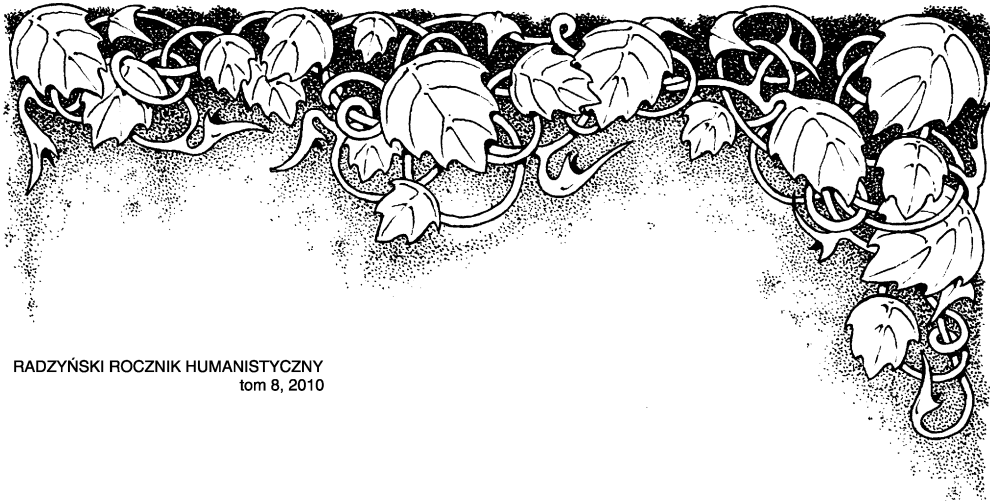
Mieczysław Bielski „Siemień – moja miłość”

Radzyński Rocznik Humanistyczny 8, 239-265

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



RADZYŃSKI ROCZNIK HUMANISTYCZNY
tom 8, 2010

Agnieszka Gątarczyk

Mieczysław Bielski „Siemień - moja miłość”

Ze wspomnieniami o Siemieniu Pana Mieczysława Bielskiego zetknęłam się, można rzec przypadkiem, na sesji naukowej organizowanej przez Muzeum Regionalne w Siedlcach poświęconej wybitnym przedstawicielom ziemiaństwa podlaskiego w XIX i XX wieku, która odbyła się w maju 2010 r. Powodem przybycia Mieczysława Bielskiego na tę konferencję była postać Seweryna Światopełk ks. Czetwertyńskiego, jego niegdyś niedalekiego sąsiada. W dyskusji pokonferencyjnej p. Mieczysław Bielski wziął udział w ożywionej dyskusji i nie omieszkał zapoznać zebranych z fragmentem swoich wspomnień. Gawędziarsko-liryczny styl opowieści dotyczący lokalnej historii wzbudził moje zainteresowanie, a propozycja publikacji tych wspomnień w „Radzyńskim Roczniku Humanistycznym” spotkała się ze strony p. Bielskiego z życzliwym przyjęciem.

Autor tych wspomnień okazał się niezwykle aktywnym człowiekiem, szczególnie w środowisku parczewskim. Jest synem Tomasza i Janiny z Ostrowskich. Urodził się 10 maja 1926 r. w Warszawie. Do początku lat 30. mieszkał z rodzicami w majątku babki Pokaniewo w Białostocczyźnie, po czym przeniósł się do Siemienia, który był własnością pradziadka autora Augusta Zaorskiego. Naukę w zakresie szkoły powszechnej pobierał w domu, pierwsze cztery klasy pod okiem matki, następne pod kierunkiem wynajmowanych nauczycieli. W 1941 r., gdy Niemcy komisarycznie zajęli majątek Bielscy zamieszkali we wsi Juliopol, gdzie autor „przerobił” siódmą klasę szkoły powszechnej. Jesienią 1942 r. rodzina Bielskich przeniosła się do Parczewa, gdzie Mieczysław Bielski pracował, dla uniknięcia ewentualnego wywozu na

roboty do Niemiec, w drukarni, a potem w mleczarni. Po wojnie ukończył w Parczewie gimnazjum dla dorosłych, następnie liceum w Lublinie. Jest absolwentem Wydziału Prawa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jako student II roku pracował w tworzącym się Muzeum na Majdanku. Po ukończeniu studiów wrócił do Parczewa i podjął się pracy nauczyciela w Zasadniczej Szkole Zawodowej. We wrześniu 1952 r. rozpoczął pracę jako radca prawny, a od 1957 r. jako adwokat, którą zakończył w 2009 r. Był współorganizatorem Okręgowej Izby Radców Prawnych w Lublinie. Pracował w Lubelskiej i Siedleckiej Izbie Radców Prawnych. Obecnie pełni funkcję wizytatora kancelarii adwokackich. Jest członkiem Parczewskiego Stowarzyszenia Twórców i Animatorów Kultury, inicjatorem nadania konkursowi literackiemu „Myśli w słowa zamknięte” oraz jednej z ulic Parczewa imienia Apolinarego Nosalskiego. Jest z zamiłowania regionalistą, poetą i literatem. Opublikował w „Podlaskim Kwartalniku Kulturalnym” *Parczewski sąd. Wspomnienia adwokata* (cz. I nr 4/1998, ss. 66 – 75, część II – nr 1/1999, ss. 42 – 48). Publikował też w miesięcznikach „Życie Parczewa”, którego był współzałożycielem i „Ziemia Parczewska”. Brał udział w konkursach literackich. Nagrodzone prace to „Moja galeria parczewska” i „Kartki z kalendarza”.

Wspomnienia z cyklu *Siemień – moja miłość* były również publikowane. W „Życiu Parczewa” w 1993 r. ukazały się w cyklu sześciu odcinków (nr 3, 4, 5, 6, 7, 8). Autor pisząc ciekawym i gawędziarskim stylem opowieść z lat dziecińczych, na potrzeby gazety z odcinka na odcinek, nie uniknął pewnych powtórzeń związanych z ludźmi czy swym domem – dworem w Siemieniu i jego otoczeniem. Toteż na potrzeby zwartej niniejszej publikacji pozwoliłam sobie, za zgodą autora, dokonać zmian w oryginalnym tekście. Pierwotny podział na odcinki został zastąpiony układem rzeczowo chronologicznym, w którym zostały uporządkowane i zawarte wszystkie wątki pierwotnego tekstu. Z cytatów rozpoczynających każdy odcinek pozostał tylko jeden. Dość szczegółowe opisy funkcjonowania i wyglądu majątku siemieńskiego pozwoliły na nadanie tytułów dla poszczególnych części.

Opowieść Mieczysława Bielskiego wprowadza nas w unikatowy świat siemieńskiego gospodarstwa rybackiego okresu międzywojennego. Ukazuje dwór jakiego już nie zobaczymy i pracę rybaków, o której pamiętają już nieliczni. Jest więc cennym źródłem do poznania historii naszego regionu. Dzięki uprzejmości Pana Mieczysława, udało się zamieścić w publikacji kilka fotografii wprost ze starego rodzinnego albumu, na których widać siemieński dwór, wody i rybaków.

W tym miejscu pragnę serdecznie podziękować Panu Mieczysławowi Bielskiemu za miłe spotkanie, ciepłe rozmowy, inne opowieści i ogromną życzliwość dla opracowującej jego wspomnienia.

Mieczysław Bielski

SIEMIENIŃ – MOJA MIŁOŚĆ

„Kraj lat dziecinnych on
zawsze zostanie, czysty
i święty jak pierwsze
kochanie”

Adam Mickiewicz

Siemień - kiedyś majątek królewski, a następnie Małachowskich, co podaję z dawnych ustnych przekazów rodzinnych, bliski jest memu sercu nie tylko z racji powiązań rodzinnych, lecz również z tego powodu, że spędziłem tam lata dziecinne 1931-1941 i dwa tygodnie w lipcu 1944 roku.

Dziesięć lat to niewiele w życiu człowieka. Ale jeśli zważy się, że były to lata dziecinnej beztroski, wesela i swobody, lata nawiązujące do młodości mojej matki i babki i ich opowiadań, a przy tym uroczy krajobraz, sentyment ten jest chyba uzasadniony.

Nisko położony Siemień, z masą łąk i zbiorników wodnych, czasem gdy wracaliśmy z usytuowanego wyżej Glinnego Stoku od kuzynów Zaorskich, lub ze Żminnego od państwa Zajączkowskich, jawił się jak morze mgły. Wspaniałe też był ten biały tuman na stawie szczególnie jesienią. Pamiętam, że kilka razy, gdy wyływałem łódkę w taką mgłę, z rufy nie było widać dziobu.

Jeśli to bywało w okresie połowu można było usłyszeć gdzieś w oddali przytłumione wołania: „A wykurz tam spody” lub „kaczor idzie!”, albo „linę na babę!”, „spuście mostek, mocniej lewą czy prawą pojazdą!”.

Jak u Choromańskiego w „Zazdrości i medycynie” wiatr jest głównym bohaterem, tak w Siemieniu dominantą była woda, a dla mnie mgła, która nie przybijała mnie, lecz wręcz przeciwnie, podniecała jak pachnąca dobra mocna kawa lub kieliszek koniaku.

Mgłę można pokochać jak kobietę, muzykę lub poezję, nie dlatego że jest ładna, dobra czy przyjemnie brzmiąca, lecz dlatego, że jest taka, jaka jest, przemawiająca do serca. Może ona też być, jak kobieta, przyczyną upadku lub wypadku.

ZBIORNIKI WODNE

Największą atrakcją Siemienia były wody: Wielki Staw, Bobowiska, zimochowy i szereg innych zalewisk. Dziecinnymi atrakcjami były jeszcze dwie wielkie lodownie - miejsce wspaniałych zabaw, a także młyn wodny, po którym wolno było chodzić

tylko w obecności młynarza lub jego pomocnika, aby nie wleźć gdzieś pod pasy transmisyjne.

Obszary wodne Siemienia wynosiły przed 1939 r. ok. 594 ha i składały się z większych i mniejszych zalewisk. A oto one: Wielki Staw - 394,09 ha, Wojtek i Dobosz - 87,36 ha, Duże Bobowiska - 40,20 ha, Staw Pierścienny - 24,08 ha, Daćko - 16,92 ha, Gdela - 5,68 ha, Nowy Stawek - 5,28 ha, Lejzner - 2,82 ha, zimochowy - 2,78 ha, Pastewnik 2,03 ha, Marek - 1,9 ha, Małe Bobowiska wschodnie - 1,37 ha, Kanałowa - 1.00 ha, Pod Pakołą - 0,84ha, Małe Bobowiska zachodnie -0,75 ha, Długa Sadzawka - 0,68 ha, Pod Sochadzkim - 0,61 ha, Jeziórko - 0,48 ha, Pod wiśnią - 0,4 ha, Za stodołą - 0,32 ha, Pałacowa - 0,28 h i Glinianki - 0,26 ha.



Jako hodowlane określano tylko Wielki Staw, czyli 394,09 ha. Kroczkowych było 60,94 ha, narybkowych 24,67 ha i nieużytków było aż 111,44 ha.

Droga od gminy w kierunku Miłkowa była nazywana popularnie groblą. Oficjalna jej nazwa brzmiała Grobla Tatarska. Śmieszne to może, ale zdarza mi się jeszcze mówić o tym trakcie „grobla”. Starsi ludzie z Siemienia jeszcze to rozumieją. Młodzi natomiast lub nie Siemieniacy, choć jeżdżą tą drogą bardzo często nie rozumieją zupełnie, o co chodzi, mimo tego, że z jednej strony jest staw, a z drugiej nizinne łąki wsi Siemień.

Naturalnie w Siemieniu było dużo grobli i grobelek, choćby dzielących zimochowy, których było 24, ale dwie były znaczące ze względu na ich długość i przeznaczenie. Pierwsza to grobla Pierścienna okalająca Wielki Staw od strony wsi Tulniki. Wzdłuż niej biegł kanał pierścienny, dostarczający wody dla wielu zbiorników wodnych całego gospodarstwa rybnego. Druga to Grobla Długa oddzielająca Wojtka i Dobosza od Wielkiego Stawu. Pomysłodawcą jej był mój dziadek Grodzicki, który w pewnym okresie był właścicielem majątku Siemień.

Uważam, że należy wspomnieć o dwu małych zbiorniczkach wodnych, takich oczkach przy Grobli Tatarskiej. Pierwszy z nich to tak zwana Diabła Dziura. Jest ona do tej pory, bardzo głęboka i nie wiadomo, skąd powstała. Zupełnie nie zarasta i co dziwniejsze, gdy w stawie kwitnie woda (jest takie zjawisko) w tej Diabłej Dziurze też wygląda to podobnie. Drugie takie oczko, również okrągłe, już nie istnieje. Była to tak zwana „Dziura Grodzickiego”. Raczej była płytka, zarośnięta wodnym zielskiem. Znajdowała się tam gdzie obecnie jest zakole stawu za śluzą. Naturalnie od strony łąk.. To oczko powstało w czasie przerywania grobli, gdy poziom wody był w stawie bardzo wysoki i jak mówiono, jakaś nieprzychylna ręka podkopała groblę. Po drugiej stronie grobli, właśnie na zakolu stawu znajdowało się duże zagłębienie sięgające około 4 m. Miejsce to zwano Przerwą.



Rozjazd galara i łodygi na zaciąg

Przy grobli Pierściennej były też pewne ciekawostki, czyli tak zwane grądki. Były to jakby półwyspy, łączki lub bagienka, czasem zupełnie niedostępne. Niektóre z nich to: Szałasowe Grądy, Malinowe Grądki, Świński Grądek. Była też łączka o szczególnej nazwie - Łowczany Bagien oraz Ukrainka.. Prawdziwa wyspa, okolona ze wszystkich stron wodą na Wielkim Stawie to Zielony Grąd, kiedyś z potężnymi drzewami, niestety później wyciętymi. W niewielkiej od niej odległości, w atolu trzcinowym, był jeszcze Sroczy Grądek, maleńka kępka z olszynkami zupełnie bagienna i niedostępna. Właśnie w tym atolu, koło tegoż Sroczego Grądku został we wrześniu 1939 roku ukryty hydroplan polski. Tam został zbombardowany przez niemieckiego lotnika i prawie całkowicie spalony.

Bardzo pięknie wyglądało wodowanie tej maszyny. Samolot nadleciał od strony mostu kolejowego i gdy dotknął powierzchni stawu, cały skrył się w tęczycy. Był to piękny słoneczny poranek i uderzona pływakami woda rozprysnęła się w chmurę małych kropelek, które zagrały barwami tęczycy. Następnie piękny, srebrzysty, wielki hydroplan wyłonił się z tej tęczycy i powolutku, ledwie mrucząc motorami, podpłynął ku rybakówce.



Drobniaczka ryb w koszach przywieziona z połowu

Na Bobowiskach, a więc stawach po drugiej stronie szosy, było kilka wysepek, kęp czasem nawet zarosłych olszyną, ale żadne z nich nie miało nazwy.

Głębokość Wielkiego Stawu nie była duża. Nie licząc nurtu rzeki Tyśmienicy przepływającej przez staw, wynosiła ona około 2-2,5 m. Głębokość zimochowów wynosiła 3 m.

Przed 1939 rokiem staw nigdy nie był tak spuszczaany jak obecnie. Spust zaczynał się około połowy sierpnia i był uzależniony od świąt żydowskich, które wypadały około połowy września. Po dokonaniu połowu, staw był napuszczany ponownie. Zimą był pokryty grubą warstwą lodu (przed wojną to były zimy!). Pamiętam, że ze stawu wycinało się potężne bloki lodowe 70 – 80 cm i wozilo saniami do dwu lodowni. Jedna była usytuowana na terenie parku dworskiego koło ogrodu warzywnego, tak zwanych inspektów. Druga znacznie większa, używana praktycznie dopiero od sierpnia, znajdowała się koło sadzawki kanałowej. Obie były dużymi na parę metrów zagłębieniami w gruncie z obmurowanymi brzegami i sklepieniem. Od podłoża takiej piwnicy, do jej szczytu było chyba z 10 m. Przykryte były warstwą ziemi ponad jeden metr. Składany tam lód leżał czasem około roku. Lodownie wyglądały jak ogromne pagóry obrośnięte krzewami, na których bawiliśmy się jako dzieci w Indian. Robiło się tam podchody, toczyło walki, zastawiało pułapki.

Rzeka Tyśmienica wpływała do stawu służą o chyba 13 oknach szerokości ok. 1,5 m. Służa ta była nieprzejezdna. Była tylko na niej kładka do przejścia. To miejsce zwano Stawiskami lub Ostrowikiem. W domu stojącym w pobliżu służy na Ostrowiku mieszkało dwóch gajowych o kapitalnych jak na owe czasy nazwiskach, jeden nazywał się Król, a drugi Mościcki. Pierwszy z nich średniego wzrostu, przystojny, o pięknym wąsie, zawsze wesoły, robił obchód ze strzelbą pojedynką. Drugi znacznie wyższy, potężny mężczyzna, jakby trochę pochmurny lub skrzywiony, chodził z dubeltówką. Mówiło się o nich, że mieszkają na Stanowiskach.

RYBACY I RYBOŁÓWSTWO

Tyśmienica wypływała ze stawu przy rybakówce, czyli budynku mieszkalno-użytkowym stojącym mniej więcej tu, gdzie obecnie jest pochyły zjazd do stawu, służą znacznie wyższą i potężniejszą, ale węższą. Miała ona tylko cztery czy sześć okien, ale szerokich ponad dwa metry. Wypływ wody był zamykany dwoma rodzajami stawideł: gruntowymi i górnymi. W tej rybakówce mieszkało dwóch rybaków Rutkowski i Duszak. Obaj znali doskonale swój zawód, ale różnili się zasadniczo, poczynając od wyglądu, a kończąc na charakterze. Pierwszy z nich był obdarzony szczególnym talentem organizacyjnym. Ludzie pod jego komendą pracowali cicho i spokojnie. Każdy wiedział co ma robić oraz, że za źle wykonaną pracę będzie skarczony a za dobrą pochwalony. Rutkowski nigdy nie podnosił głosu. Był zawsze poważny. Duszak za to lubił sobie pokrzyknąć na ludzi, połajac ich, ale za to był wesoły i lubił też pożartować. Był wspaniałym typem malarskim. Mój wuj Andrzej Czarowski malował go kilka razy. A mieszkający w Siemieniu kolega wuja Alfred Szeli-ga, doskonały rysownik i malarz, przedstawił go w pięknym drzeworycie „Duszak robiący sieć”.

W części użytkowej rybakówki znajdowała się tak zwana sieciarnia i wystawka. Pierwsza to jakby ogromny pokój ze ścianami tylko z balików i częściowo ze strychem. Był to skład wszelkich sieci, a więc: wielkiego włoka, małego włóczka, sufat dużych i małych, kaczerków, wiosel, lin i innego sprzętu rybackiego. Włoki składały się ze skrzydeł i matni oraz miały liny. Wielki miał skrzydła długości łącznie około 300 m, a matnia mogła pomieścić około 3 tony ryb. Liny do tego włoka wynosiły łącznie około 500 m. Na przodzie matni był przytwierdzany „kaczor”, czyli deska znacząca, że tu

zaczyna się matnia. Mały włóczyk miał około 30 m. Sufaty, czyli siatki składane, rozpięte w formie trójkąta równoramiennego na dwóch drążkach sosnowych, miały wymiary: duża około 2,5 m i mała około 1,5 m. Kaczerki to siatki do podbierania ryb. Też naturalnie na pałkach drewnianych. Również szufle do wody były drewniane.



Połów ryb na rzece dużymi sufatami

Wiosła to oddzielny rozdział, bardzo ważny, a dobre ich wykonanie było szczególną umiejętnością. Naprawdę dobre wiosło było nazywane przez rybaków pieszczotliwie „wiosełkiem”. Wiosło na pych - długie około 2,5 m, było dębowe, zwieńczone na końcu pióra żelazną ostrogą z dwoma kolcami, z rączką poprzeczną u góry, winno być poza obowiązkowym kształtem w miarę lekkie, ale wytrzymałe nawet na boczny nacisk, który przy prowadzeniu łódki szczególnie obciążonej występował. Wiosła do dulek, sosnowe naturalnie, poza kształtem musiały mieć oba jednakową wagę. Były one obite skórą, w miejscu gdzie wchodziły w dulkę, czyli jakby metalowe widełki.

Łódki były z desek sosnowych i miały dziób przeważnie dębowy. Były to płaskodenki. Niektóre przystosowane do dulek miały na rufie ster i ławki. Inne tylko „na pych” były towarowymi. Łódek było w majątku 24. Miały długość około 3 m, a jedna tak zwana retmanka miała 2,5 m.

Pisząc o łódkach i wiosłkach należy bezwzględnie wspomnieć p. Kaszlikowskiego, prawdziwego artystę w tym rzemiośle. Z jego rąk wychodziły tylko „wioselka”. Wymiary łódki były zawsze prawidłowe, a kształt dzioba był prawdziwym majstersztykiem. Gdy ręce odmówiły mu posłuszeństwa w tym ciężkim zawodzie, został kościelnym w nowo utworzonej parafii siemieńskiej. Panie Kaliszowski, może obecnie też robisz piękne łodzie dla pracowników Świętego Piotra, do wozenie nie ryb lecz dusz, lub dzwonisz na Anioł Pański w niebiesiach?

Wielki staw był, bo niestety jest to już czas przeszły, najpiękniejszy w... każdej porze roku. A więc zimą staw stanowił, przeważnie z powodu swojej płytkości jednolitą, gładką tafłę lodową. Gdy ten lód był przykryty równą warstwą śniegu, a trafił się dzień słoneczny i jechało się po stawie na saniach, wrażenie było cudowne. Kryształki śniegowe błyszczały jak brylanty. Czasem przed końmi biegła rysa pękającego lodu, co nie groziło niczym, bo lód był gruby. Taka jazda po stawie była wielką przyjemnością, szczególnie jeśli skręciło się z ustalonej i przetartej saniami drogi.

Dla tych, którzy znają obecnie staw siemieński, podaję, że droga ta przez staw zaczynała się trochę przed rybakówką i biegła do brzegu miłkowskiego na prawo od Przerwy. Skracało to drogę tylko około pół kilometra, ale było równiuterkno i przepięknie.



Wynoszenie ryb na brzeg przy rybakówce

Gdy warstwa śniegu była niewielka i dobrze podkute konie (świątecznym fahowcem w tym zawodzie był Sadowski z Parczewa) szły pełnym kłusem, od lodu odbijało echo o szczególnym brzmieniu. Nie spotkałem nigdy więcej takiego dźwięku.

Raz zimą, po pierwszym lekkim zamarznięciu, potężny wiatr od strony grobli pierściennej zepchnął częściowo lód przy miłkowskim brzegu. Utworzyła się z tego budowla, jakby bardzo długi namiot, czy złożona w połowie kartka papieru lub chyba najlepiej literka V odwrócona stożkiem do góry. Ten dziwny twór ciągnął się od Przerwy aż do strzelnicy czyli około pół kilometra. Było to wysokie na około 1,2 m. W niektórych miejscach, zgodnie z linią brzegową, ta budowla była lekko zgięta, ale nigdzie nie załamana. Będąc z kolegami szkolnymi na stawie, na łyżwach, podziwialiśmy ten cud natury, który był tak gładki i tak stromy, że żaden z nas nie mógł na niego wejść.

WIOSNA

Tę porę roku muszę podzielić na dwa okresy. Pierwszy to marzec i początki kwietnia, zimny, bardzo wietrzny z burzami, grzywiastymi falami. W tym okresie topniał lód i dęło straszliwie. Był to dobry okres do pływania z żaglem, ale dość niebezpieczny. Mój wuj, o którym pisałem wcześniej, wielki romantyk i samotnik, pływał taką małą łódeczką i raz o mało się nie utopił. Była to łódka płaskodenka z opuszczanym żelaznym mieczem. Mimo tego o mało nie doszło do tragedii. Tę porę roku najmniej lubiłem, a po wypadku wuja bałem się jej jak dziecko. Trzeba jednak przyznać, że właśnie te bure, grzywiaste fale wyglądały pięknie. Za to późniejsza część wiosny, czyli koniec kwietnia, maj i czerwiec były nad stawem przepiękne. Pełna zieleń brzegów, trzciny, pałki, tataraki a potem nenufary.

Przypominam sobie, że było w zwyczaju na Zielone Świąta przynoszono całe snopy tataraku, i to wielkiego, długiego na metr lub więcej. Zdobiło się nimi pokoje i rozsypywało po alejkach w parku. Wszystko pachniało pięknie. Do tej pory ciągnie mnie, aby choć czasem pojechać raniutko w dzień Zielonych Świąt nad staw i przywieźć sobie choć garstkę siemieńskiego tataraku. Czasem daję go trochę ludziom bliskim memu sercu.

Ptaki – te najpopularniejsze na stawie to kaczki, przeważnie krzyżówki, podgorzałki i cyranki (czy występowały tam cyraneczki - nie wiem), łyski, perkozy, rybitwy, czasem przelotem wcześniej dzikie gęsi, bąki, czaple, szczególnie tępione z uwagi na wybieranie narybku i różne rodzaje jastrzębi. Przed wojną nie było na stawie łabędzi i mew.

Dla mnie szczególnie pięknym ptakiem była rybitwa. Smukła, biała z ostro zakończonymi skrzydłami, czerwonym dziobem i nóżkami. Chyba „niema” lub prawie „niema”. W każdym razie nie tak krzykliwa i nachalna jak mewy. Rybitwa dla mnie to jak tancerka na lodowej tafli.

Nie dawno słuchałem pani Krystyna Sienkiewicz mówiła pięknie o przyrodzie i jeziorach. Ale użyła tam określenia „kaczki to takie ptasie jamniki.” Ach, pani Krysty-

no, nie widziała pani chyba i nie słyszała lecącej dzikiej kaczki. Widać, że nie zna pani całej poezji tego ptaka.

Po pierwsze - śliczne ubarwienie kaczora na szyjce i piórkach ogona. Po drugie - wspaniała proporca wydłużonej szyi i skrzydeł do reszty tułowia. A po trzecie i te najważniejsze, ten lekki świst lecącej kaczki. Te leciuteńkie „fiu, fiu”. Poświst lecącej kaczki może oddać w przybliżeniu tylko dobry flecista grający absolutne piano w zamarłej ciszy sali koncertowej. Poezję lecącej kaczki potrafią ocenić chyba tylko myśliwi, ale oni niestety przerywają to strzałem. O kaczkach napiszę dalej, bo sezon polowania zaczynał się w sierpniu a więc latem.

Na tym miejscu za to trzeba koniecznie wspomnieć o żabach i słowikach. Kto słuchał tych wieczornych koncertów żabich nad stawem, ten dopiero w pełni doceni mistrza Adama, gdy pisał: „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”.

Słowiki zachylające się w chaszczach nad stawem. Były ich chyba dziesiątki. Do tej pory jeżdżę do Siemienia słuchać słowików, chociaż jest ich teraz jakoś znacznie mniej. Kiedyś zawiozłem na te słowiki naszą znajomą z Lublina, zwaną przeze mnie żartobliwie „kasztelankę kujawską”, z racji pochodzenia ze znakomitej rodziny ziemiańskiej na Kujawach na majątku Karnkowo, z interrexem w rodzie.

Choć nie należały te tereny bezpośrednio do stawu, ale ponieważ były zaraz po drugiej stronie grobli tatarskiej, należy wspomnieć o łąkach wsi Siemień. Była tego ogromna połać sięgająca od dawnego koryta rzeki Tyśmienicy aż do lasu karłowatych sosenek i drogi przez tzw. „Czech” do majątku naszych kuzynów Zaorskich. Kosiono się w tym okresie wyłącznie kosami i właśnie ten odgłos ostrzonej na łące kosy był też nie powtarzalny. A ponieważ kosiono tam bardzo często wielu gospodarzy, więc to „dzwonienie” słychać było daleko i często.

LATO

Dla nas, dzieci, zaczynało się z chwilą zakończenia zajęć szkolnych. Chyba wszystkie dzieci lubią lato z tego powodu. Na stawie pełnia życia, pod wodą, na wodzie i nad wodą. Kiedyś przestrzegano, aby do kąpeli iść dopiero po 24 czerwca, bo już św. Jan poświęcił wodę. Dodatkową, a szczególnie dla nas atrakcją były przyjazdy do Siemienia kuzynów z Leszna. Mieli czwórkę dzieci, a więc możliwość zwiększenia zabaw.

Prawie codzienne jazdy łódkami na tzw. Piaski, czyli miłkowski brzeg do kąpeli i na zabawy w piasku, którego tam było pod dostatkiem. Przed południem kąpaliśmy się na tzw. „Podbródkach”, czyli tam, gdzie szła woda „na młyn”. Tak się u nas mówiło „na młyn”, a nie „do młyna”. Było tam względnie płytko, ale bez plaży piaskowej, jak na miłkowskim brzegu. Ponieważ woda tam „szła”, więc była chłodniejsza, wolno się było kąpać tylko pod nadzorem starszych. Czasem rano łapaliśmy tam ryby. Mieliśmy też „podrywki”, siatki do łapania ryb na pałakach, naturalnie leszczynowych, nie jak obecnie z drutu.

Z tym łowieniem ryb na tych Podbródkach przypomina mi się pewien epizod. Przychodził tam czasem ksiądz Samulak, pierwszy proboszcz nowo utworzonej

w Siemieniu parafii. Był to bardzo miły człowiek, towarzyski, i wielki przyjaciel moich rodziców. Nie kąpał się nigdy z nami, tylko, gdy było bardzo gorąco, zdejmował sutannę i pozostawał w spodniach i koszulce gimnastycznej. Raz zastawił dosłownie o kilka metrów od gromady kąpiących się tam dzieci oraz mego ojca i wuja dr. Augustowicza podrywkę. Szum tam był niesamowity, a pora około 10-11 godz. Gdy wyciągnął siatkę, był w niej piękny, wielki węgorz, długości chyba około metra (przed wojną były w stawie takie węgorze, a nie takie węgorzyki jak obecnie czasem widzę, 40-50cm). Wszyscy zdębieli, a ojciec mój, znany żartowniś i krotochwilarz stwierdził, że „takie szczęście może mieć tylko ksiądz”.

Wracając do uroków stawu. Aby je poznać, przeżyć i ocenić, należało wypłynąć łódką rano lub wieczorem, by usłyszeć głosy ptaków wodnych czy cmokanie karpia. Taka cisza poranna lub wieczorna na wodzie z tymi głosami daje poczucie, że jest się częścią tego przestworu wodnego, o którym pradziad mój po kądzeli leżący na parczewskim „smentarzu” August Zaorski mawiał: „wedle stawu grobla”.

Wypływając łódką około południa, gdy słońce paliło i ustawał prawie wszelki wiatr, a tylko drobniuteńka fala marszczyła toń, trzeba się było położyć płasko na dziobie łódki tak, aby klatka piersiowa leżała tam, gdzie od strony zewnętrznej stykała się z łódką woda. Wtedy lekki plusk zmarszczek fali, zwiększony rezonans dna łodzi, dawał wrażenie rozmowy serca z wodą. Tylko miłująca dłoń położona na kochanym sercu może dać podobne wrażenie.

A cóż powiedzieć o ukośnych promieniach słońca odbitych w ledwie marszczącej się fali? Gdy płynęło się łódką cichutko bez wstrętneho silnika, bez żadnego gadania, sycąc się urokiem wody, najlepiej „na pych”, prosto w taką brylantową smugę, wrażenie było niepowtarzalne.

A teraz, po tych romantyczno-infantylnych jakby u mistrza Konstantego Ildefonsa odczuciach należy przejść do realiów.

POLOWANIE NA KACZKI

„Specialite' de la maison” Siemienia to polowanie na kaczki z łódki. To nie strzelanie do kaczki, gdy się stoi na grobli, na pomoście lub innym pewnym podłożu. Po pierwsze - do tego trzeba było mieć naprawdę dobrego człowieka do wiosła. Nie pamiętam, czy było jakieś szczególne określenie takiego prowadzącego łódkę. Na wsi w Siemieniu znajdowało się kilku takich. Była to rodzina Kwiatków, a wśród nich ojciec Józef, prawdziwy artysta tej umiejętności. Jeśli ktoś pływał łódką, to niech sobie spróbuje wyobrazić, aby to płynięcie nie wywołało najmniejszego szmeru. Aby ruch wiosła, jego wyjęcie z wody i zanurzenie nie było w ogóle słyszalne. Aby płynąc przy trzcinie nie trącić żadnej burtą, dziobem, rufą lub wiosłem. Do kaczek należało „podejść”, czyli podpłynąć jak najbliżej, aby nie spłoszyć przed czasem. Naturalnie należy wiedzieć, że do kaczki siedzącej na wodzie czy pływającej nie strzela się. Ma ona „prawo obrony” od myśliwego swym lotem. Również było nie elegancko strzelać do stada kaczek. Smak to strzał do sznura kaczek. Uważało się, że strzał do całego stada to po prostu chamstwo.

Rodzina Kwiatków znała się na myśliwych. Wiedzieli, jak kogo należy wozic i czy warto wlozyc caly swój kunszt w tego myśliwego. Przypominam sobie, że właśnie Józef Kwiatek wspominal przez wiele lat pewną księżną, nie dlatego, że była księżną, ale dlatego, że miała niezawodne oko i rękę. Strzelała nie podnosząc się z ławki na łódce i nie chybiała.

Przypominam sobie też, że pewnego razu przyjechał do Siemienia jeden hrabia, który bardzo chwalił się swymi sukcesami strzeleckimi. Ojciec mój, jak wspomniałem kawalarz, szepnął o tym słówko Józefowi Kwiatkowi. Ten znawca myśliwych, ocenił od razu pana hrabiego. Podwiózł raz i drugi hrabiego dość blisko kaczek. Naturalnie było pudło, bo łódka te nie grobla, a i myśliwy pył bardziej „w gębie niż w lufach”. Hrabia wydarł się na Józefa: „Jak mnie wiesz, strzału dobrego nie mogę oddać!” Kwiatkowi to wystarczyło. Poprowadził łódkę na głębszą wodę i gdy pan hrabia stojąc w rozkroku na łódce złożył się do strzału, leciuteńko drgnął bokiem łódki. To wystarczyło. Pan hrabia razem ze strzelbą fiknął przez burtę do wody. Józef tak potem opowiadał memu Ojcu: „Wiedziałem, że strzelba była zacna a wiadomo, że ona nie wypłynie w przeciwieństwie do hrabiego. Wobec tego najpierw łapię dubeltówkę i biorę do łódki, a potem pomagam wyleżć hrabiemu”.



Łółw na rzece duzymi sufatami

Oddzielnym rozdziałem, jeśli chodzi o lato na stawie, były: wyspa Zielony Grąd i tzw. Rzeka, czyli część stawu od strony Ostrowika. Wyspa była kiedyś zarośnięta potężnymi drzewami, chyba dębami. Miały one na pewno ponad sto lat, a poza tym masa drobnych olszyn i innych drzewek i krzewów. Rosło tam niemało malin, dzikich jarzyn, nie mówiąc już o okalających wyspę trzcinach, wysokich ponad jeden metr. Może dlatego, z powodu też wspaniałej prawdziwej głuszy i szaleństwa nieskrępowanej zieleni na wyspie, nie lubię wypielegnowanych i „wylizanych” ogródków działkowych.

Na wyspę był tylko jeden dojazd od strony rybakówki. Wypływało się zatoczką między tymi wspaniałymi trzcinami i dalej na gruncie szło się kilkanaście metrów ścieżką okoloną olbrzymimi pokrzywami. Mniej więcej na środku ciągnęła się łączka, a dalej już tylko chaszczce, gdzie można się było, naprawdę jak dziecko, zgubić.

Rzeka to początkowa część stawu, od słuzy na Ostrowiku na odległość mniej więcej do połowy stawu między wyspą a służą. Wspaniałe meandry między trzcinami wysokimi na ponad półtora metra stanowiły odpowiednie miejsce dla ptactwa. Tam się jednak nie polowało, bo kaczka bardzo łatwo z powodu wysokości trzcin stawała się niewidoczna. Meandry były tak przedziwne, że czasem odnosiło się wrażenie, iż wraca się w kierunku, z którego się wypłynęło. Na rzece były też „dziury”, czyli poważne zagłębienia, z których trzeba było wybierać ryby dużymi sufatami.

JESIEŃ

Spust stawu przed połowem zaczynał się jeszcze latem pod koniec sierpnia. Należało powiadomić gospodarzy mających łąki przy rzece, aż za miejscowość Jezioro, bo tam nawet występowały wylewy przy spuście. Potem woda była już spuszczo-
na, ale nigdy tak jak obecnie, i zaczynał się połów. Ile ludzi brało w tym udział, nie pamiętam, ale chyba około dwudziestu.

Główną jednostką pojazdową i odławiającą był tzw. galar, czyli krypta o płaskim dnie, raczej płytka, o rozmiarach ok. 3,5 – 4 m szerokości i ok. 5,5 m długości. Na galarze był składany wielki włok. Na środku na pewnym podwyższeniu znajdowała się „baba”. Był to jakby kołowrót w formie beczki, ale nie pękatej, lecz o równych ścianach. Zakładało się na nią drążki do kręcenia, co nie było łatwe. Na tę „babę” nawijało się linę, która była przedłużeniem skrzydła włoka. Opór wody był więc ogromny. Drugą jednostką połowową była wielka łódź tzw. „łodyga”. Miała chyba około 7 – 8 m długości i też na pomostku „babę” do skręcania linek. Jednostki te posuwały się przy pomocy olbrzymich wiosel zwanych pojazdami na galarze i pojazdkami na łodydze. Przy każdym wiosle stało dwu, a czasem czterech ludzi i naciskało na nie z całą siłą. Była to bardzo ciężka praca. Zaciąg, czyli początek fazy łowienia ryb zaczynał się od rozjazdu galara i łodygi półkolami. Wyrzucało się do wody włok, a potem liny. Wszystko to odbywało się w czasie jazdy, czyli odpływania od siebie dwu wyżej wymienionych jednostek. Lina się wtedy odkręcała z „baby”. Po pewnym czasie i zatoczeniu półkola obie jednostki zjeżdżały się w określonym miejscu przy

brzegu i tam najpierw zciągało się włók linami, kręcąc „baba”, a potem już wybierało się rękoma stojąc na galarze. Była to chyba najcięższa praca i do tego przykra, bo włók wyciągnięty z wody był naturalnie cały mokry. Ludzie byli mokrzy od pasa, a często od piersi. Czasem trzeba było „strzelić” liną, czyli jeśli włók szedł źle, jakoś opornie lub widać było, że ryby „wychodzą” poza włók, przestraszyć je. Skrzydła włoka miały od góry pływaki zrobione z kory topolowej, a na dole przy dnie trochę żelaznych ciężarków, a trochę słomianych węzłów, aby nie za bardzo szły w błoto.

Gdy skrzydła zostały już zebrane, opuszczano się z galara tzw. moset, czyli deski zbite prawie na szerokość galara i wyciągało się na niego matnię - ten olbrzymi wór, który mógł pomieścić ponad tonę ryb. Ryby wybierało się kaczerkami do łódek, następnie odwoziło się je na brzeg koło rybakówki. Bywały szczególnie dobre miejsca zaciągów. Na przykład zaciąg na dąb rosnący na miłkowskim brzegu był prawie zawsze dobry. Ale bywały też zaciągi nie trafione, czyli z bardzo małą ilością złowionych ryb. To była praca prawie na darmo. Trochę drobnicy i ryb, jedna łódka czy dwie karpia. Ale bywały też takie zaciągi, że ryby woziło się parę godzin. „Kapitanami” na Galarze i Łodydze bywali: Duszak, Szymon Kwiatek i Jan Klajda.



Wozy żydowskie z kojkami przy rybakówce

Na galarze przy matni następowało naturalnie sortowanie ryb. Zawsze oddzielnie karpie jako najlepsze, oddzielnie szczupaki, których też było sporo, oddzielnie liny, leszcze i karasie, oddzielnie tzw. średnica czyli duże okonie, krasnopióry, płocie. Do średnicy mieli prawo ludzie pracujący przy połowie, biorący

udział w zaciągach danego dnia. Drobnicę, czyli to co teraz określa się, moim zdaniem, brzydkim słowem „chwast rybny” (pozbawia się tym określeniem rybę jej istoty - osobowości, a nawet jazgarz czy mała płotka ma prawo do tego, aby je szanować), kupowali Żydzi, czekający na brzegu przy rybakówce z wozami, naturalnie konnymi, na których stały wypełnione drobnym, tłuczonym lodem „kójki”, czyli takie jakby skrzynki, ale lubiane lub plecione bez kantów.

Ryby od galara były wiezione naturalnie na łódkach napełnionych wodą. Na brzegu przy rybakówce, też kaczerkami, wyjmowało się, przekładało do koszy i przenosiło do zimochowów. Taki kosz, naturalnie pleciony, był opatrzony rączkami, czyli dwoma drążkami dla dwóch ludzi. Niosło się je podobnie jak lektykę, tyle że na opuszczonych rękach, nie na ramionach. To też była bardzo ciężka praca, bo kosz ważył około 50 kg, wszystko było namoknięte, a odległość wynosiła do zimochowów 300, czasem 450 metrów. Przeniesione do zimochowów ryby takie jak karpie i szczupaki czekały w tych głębokich zbiornikach dwumetrowych z przepływową wodą, aż do zimy. Przed Bożym Narodzeniem były odławiane i samochodem cysterną z wodą dotlenioną ze specjalnych butli przewożone do Warszawy, gdzie osiągały dobre ceny. Po połowie następowało napełnianie stawu wodą, aby był na zimę znów pełny.

Jak „specialite da la maison” Siemienia w zakresie polowań na kaczki był strzał z łódki, tak podobną specjalnością połowu był okoń pieczony, na patyku przy ogniu. Po dobrym zaciągu, gdy część ludzi odwoziła ryby na brzeg, reszta rozpalala ognisko w miejscu zaciągu i piekła ryby.

I tu pytanie: czy jesienią w okresie połowu staw śmierdział, czy pachniał błotem? Dla niektórych na pewno śmierdział, ale dla mnie pachniał! Nie od rzeczy będzie tu żartobliwe powiedzenie mego Ojca: „Jeden twierdzi, że nawóz śmierdzi, a drugi przeciwnie, że pachnie przedziwnie”. Cóż, wszystko zależy od podejścia, tak jak z tą mgłą, jak z burymi, zimnymi, groźnymi falami, tak samo z błotem ze stawu. Kocha się coś dlatego, że jest takie jakie jest i to wystarcza.

Bezpośrednio ze stawem było związane wydarzenie jednostkowe, ale tak szczególnie i chyba nigdzie dotąd nie opisane, iż uważam, że należy o nim wspomnieć. Chodzi o „wodowanie” na stawie balonu biorącego udział (chyba) w zawodach o puchar Gordon Benetta. Lecieli nim sławni piloci: kpt. Franciszek Hynek i W. Pomaski. Przytaczając słowa mego ukochanego mistrza Adama z „Powrotu taty” – „... A jak się stało opowieść ...”. Pewnego dnia usłyszałem krzyk, że nad stawem leci balon i jest coraz niżej. Popędziłem przez zimochowy i gdy wybiegłem z parku na groblę, zobaczyłem ponad budynkiem młyna wierzch balonu. Pamiętam to dobrze, bo zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Jeśli ktoś będzie na zimochowach w Siemieniu to niech stanie i spojrzy na młyn. Jest on przecież duży, dwupiętrowy. A wtedy wierzch czaszy balonu unosił się trochę nad nim. A był to już moment osiadania na wodzie gondoli.

Balonem tym lecieli: Władysław Pomaski i kpt. Franciszek Hynek¹, zwycięzca zawodów o ten sam puchar w roku 1933 w Chicago na balonie Kościuszko lecąc 39

¹ Franciszek Hynek (1897-1958) – absolwent seminarium nauczycielskiego, podpułkownik pilot balonowy Wojska Polskiego. Kombatant I wojny światowej. Żołnierz ZWZ i AK w czasie II wojny światowej. Jeden z

godz. i 33 min. pokonał 1361 km z Zbigniewem Burzyńskim. W roku 1934 Franciszek Hynek wraz z Władysławem Pomaskim przelecieli w czasie 44 godz. i 48 min. odległość 1333,5 km. Z encyklopedii wynika, lot ten był organizowany w Warszawie. Gdzie był start, nie wiem. Nawet w encyklopedii sportu tego nie podają. Tak samo nic nie piszą o lądowaniu w Siemieniu. Fakt przylotu został udokumentowany zdjęciem zrobionym przez mego wuja Jana Zaorskiego. Pozostałe fakty, które sobie przypominam, to posiadanie przez pilotów aparatu radiowego w gondoli, butle tlenowe, które mieli na wypadek dużych wzniesień, odór wypuszczanego z balonu gazu i ostrzeżenie pilotów, aby nie palić papierosów, bo gaz jest palny. Ponadto przypominam sobie bardzo duży ciężar powłoki balonowej, którą po wypuszczeniu gazu załadowano na parokonną wóz w celu odwiezienia na stację kolejową. Powłokę tę ładowało chyba z dziesięciu ludzi.

LUDZIE

Parafia siemieńska powstała przed drugą wojną światową. Nie pamiętam w którym roku, ale wiem że 4 października 1936 r. przyjąłem pierwszą Komunię Świętą. Do tej pory przechowuję w archiwach rodzinnych pamiątkę. Jest nią dość dużych rozmiarów obrazek z podpisem pierwszego proboszcza siemieńskiego ks. Jana Samulaka. Kościół parafialny był mały. Obecnie nazywałby się kaplicą. Naturalnie drewniany, kryty gontem, bez naw, z jednym, a później z drugim maleńkim ołtarzem. Obraz do tego głównego ołtarza „Przemienienie Pańskie” malował mój wuj Andrzej Czarkowski.

Pierwsi proboszczowie siemieńscy, których znałem, odznaczeni byli pewnymi cechami. A więc pierwszy, wspomniany już ks. Samulak, szalenie kochał kwiaty. Przy domu, który zajmował, był niewielki ogród, który wprost kipiał kwiatami. Ks. Smulak, którego zresztą po wielu latach jako staruszka, odwiedziłem w Białej Podlaskiej pokazując mu ten obrazek z Pierwszej Komunii z 1936 r. i przedstawiając swoją żonę, powiedział kiedyś do mej Matki: „Tak kocham kwiaty, że jeśli bym nie mógł jakiegось wspianiałego kwiatu dostać legalnie, to chyba ukradłbym go”.

Następny ks. Paduch był na owe czasy szalonym nowatorem. Zakupił bowiem motorower i jeździł nim ku zgorszeniu „starych bab”. Naturalnie były skargi do biskupa. I naturalnie ks. biskup przegnał skarżących.

Następny, ks. Bazyluk, był szalenie zamięłowanym przyrodnikiem. Zbierał zioła, kwiaty polne, muchy, chrząszcze. Potrafił, podobnie jak pan Wojski, odróżnić po brzęku skrzydeł, jaki to leci owad.

Następnym, już podczas wojny, był wspianiały góral ks. Profic. Był on klasycznym typem człowieka z gór. Wysoki, śmigły, o ściągniętej, podłużnej twarzy,

twórców sportu balonowego w Polsce. Dwukrotny zwycięzca Międzynarodowych Zawodów Balonowych o Puchar Grodon Bennetta. Zginął w śmiercią lotnika w trakcie wykonywania lotu balonem. Źródło: www.wikipedia.pl, lotniczapolska.pl.

żyłastych, mocnych rękach i wspaniałym głosem. Śpiewał tak potężnie i tak pięknie, że nawet mój ojciec, który miał fachowo szkolony, operowy głos, podziwiał go. Czasami w tym maleńkim kościele siemieńskim bywały prawdziwe koncerty, gdy ks. Profic miał śpiewaną mszę, Ojciec śpiewał pieśni Moniuszki, a Matka grała na skrzypcach. Ks. Profic posiadał jeszcze jedną zaletę. Potrafił głosić wspaniałe kazania, głębokie w treści, związane w prowadzeniu zasadniczej myśli, nie rozwlekł i do tego mówione głębokim głosem. Muzykalność ks. Profica była rodzinna. Jego brat wygrał konkurs na organistę w Kościele Mariackim w Krakowie.

Od spraw kościelnych krok tylko do uroczystości takich jak wesela. Na jednym z takich wesel, a mianowicie szanowanej bardzo na wsi rodziny Kwiatków, był ślub najstarszego syna Szymka, Ojciec mój, poproszony przez gości weselnych odtarńczył z panną młodą oberka na stole. Wydarzenie to potem wspomniano długo.

Matka moja jeszcze jako młoda panna lubiła szalenie jeździć konno. Miała dwie wierzchówki: Hankę i Baškę. Potrafiła raniutko wyjechać z Siemienia, aby odwiedzić ciotkę Czarkowską w majątku Chmielów za Parczewem, a potem wracając po śniadaniu, wstąpić z kolei do bardzo kochanego wuja Seweryna Zaorskiego w Glinnym Stoku i wrócić na obiad do domu. Matka, jako już postępową kobietą, jeździła po męsku, czasem w spodniach lub amazonce. W przeciwieństwie do mojej babki Józefiny (nie Józefy), która jeździła jeszcze po damsku – obie nogi z jednej strony konia. Jazda konna była w rodzinie matki szczególnie lubiana. Na przykład tenże wuj matki Seweryn Zaorski potrafił pojechać konno z Glinnego Stoku w odwiedziny do majątku mojej babki Józefiny i jej pierwszego męża do Potoczka w Radomskim. Do tego jeździł nie według mody angielskiej unosząc się w siodle, lecz „po polsku”, na nisko opuszczonych strzemionach i sztywnych nogach.

Znałem tylko jedną osobę, która używała prawdziwej parasolki (sol, solis – słońce), a więc zabezpieczenia od słońca. Była nią moja Babka Józefina Grodzicka. Miała taką białą w granatowe grochy parasolką, z którą chodziła na pole zobaczyć, jak pracują zniwiarze. Matka moja za to, już jako kobieta postępową w tamtych czasach, nie uznawała opalenizny za objaw niewłaściwego lica. W innym zakresie też była postępową. Na pensji, takiej szkole dla panienek, u pani Hewelke w Warszawie, była jedną z pierwszych, która po wykładach z biologii zgłosiła się jako chętna do chodzenia bez gorsetu. Starsze panie w początkach naszego wieku uważały to za rzecz gorszą, prawie nieprzyzwoitą.

Oddzielne wspomnienie należy się kuzynom Czarkowskim, w okresie mego dzieciństwa mieszkającym też w Siemieniu. Wuj Andrzej, malarz, miał specyficzną osobowość. Wydawał się zawsze „śmiertelnie” poważny, prawie ponury, ale wystarczyły dwa, trzy zdania rozmowy, aby na jego wybitnie piękną twarz wypłynął tak pogodny, zniewalający uśmiech, że jego uprzednia powaga zniknęła. Wuj zaś, młodszy brat Andrzeja, zawodowy żołnierz, lotnik, był wcieleniem radości, uśmiechu i humoru. Wuj Jerzy, najstarszy z braci, był naprawdę zawsze bardzo poważny. My, dzieci, baliśmy się go trochę. Zarządzał on gospodarstwem rybnym w Siemieniu. Wuj Jerzy posiadał ogromną bibliotekę i zaszczepił mi szczególną miłość do książek. Jego to niewątpliwie zasługą jest to, że nie mam już gdzie w domu chować książek. Wuj Jerzy używał zawsze pięknej polszczyzny, na co zwracał mi uwagę jeszcze jako dziecku

mój Ojciec. Nie uznawał żadnych „wytrychów słownych”, skrótów, czy określeń niestosownie brzmiących. Nie rozmawiał też nigdy rękoma. Matka ich, będąc ciotką mojej Matki, Zenobia Czarkowska, o wybitnej urodzie, ogromnym poczuciu humoru i niewysłowionej dobroci serca, była znana z gościnności i wytwarzania tej szczególnej atmosfery, która promieniowała wokół. I znów jakiś paradoks siemieński. Ciotka Czarkowska posiadała obraz „Obrona Trębowoli”, nie jakiegoś nadzwyczajnego pędzla, ale bardzo stary. Ten obraz miał właściwości spadania z mocnego haka, gdy w rodzinie działo się coś niedobrego.

Wracam do spraw majątku Siemień. Pierwszym karbowym, to taki jakby majster w gospodarstwie, był Brzozowski. Był on obdarzony wyczuciem rytmu i dobrym słuchem. Gdy dzwonił rano, zwołując służbę do pracy, brzmiało to naprawdę ładnie i muzycznie. Następny, Jan Antoniuk, już nie dzwonił tak ładnie, ale był klasycznym typem człowieka wsi. Raczej niski, krępy z sumiastym wąsem i tubalnym głosem. Dzwonienie, o którym wspominał, odbywało się w ten sposób, że w zawieszoną na takiej jakby szubienicy odkładnicę (część pługa) karbowy bił młotkiem. Urządzenie to stało przed spichlerzem na pagórku, a ten spichlerz, którego zresztą już nie ma, był jak słyszałem, dawnym zborem ariańskim. W majątku panował taki zwyczaj, że w Wielki Piątek nie dzwoniło się rano na ludzi, a karbowy pilnował, aby nie było jakichś szczególnie głośnych prac i upominał, jeśli ludzie kleli w tym dniu.

Skoro już jesteśmy na podwórzu majątkowym, to należy wspomnieć o wielkim budynku, który zresztą stoi do tej pory. Mieściły się tam: stajnia cugowa (konie do wyjazdu i pod wierzch), obora chyba na 40 krów, stajnia fornalska chyba na 16 czy 13 koni i stodoła. Stangret był jeden, a fornali czterech. Z tym, że każdy z nich miał swego czeladnika. A więc każdy fernal był odpowiedzialny za 4 konie. Były też konie na tak zwanym łaskawym chlebie. Wozily one wodę do dworu lub pasły się na wybiegu. Koni za moich czasów nie było szczególnie ładnych w majątku, ale za to były one szybkie. Pamiętam piękną klacz, złotą kasztankę o dziwnym imieniu Lupa. Miała piękny łeb i śliczne oczy, ale była trochę leniwa. Miała za to wspaniałe, krągłe, złociste zad. Przypuszczam, że fornale i stangret nazywali ją przez literę „D” a nie „L”. Innymi końmi, które wbiły mi się w pamięć, były bułanki. Ta para miała coś w sobie z tarpanów. Czarna grzywa, ogon i kopyta. Były takie myszato-bułane i nieduże. Świetnie się nimi jeździło zimą. Nie było dla nich złej drogi. Zaspę czy lodowicę pokonywały swym drobnym klusem bez używania bata. Ogromną frajdą dla mnie było pojechać nimi z Ojcem zwykłymi rębnyimi, to znaczy nie kutymi, paradnymi saniami, z baranicą i burkami, ale ot tak, na słomie. Z okolicznych dworów tylko konie z majątku państwowego w Tyśmienicy wyprzedzały nasze.

Jeśli już opowiadam o podwórzu, to trzeba też nadmienić, że była tam wozownia, gdzie stały: amerykan - pojazd doskonale resorowany na wysokich kołach o pełnych gumach zamiast obręczy, bryczka i stara mała karetka. Wisiwały tam siodła i uprząż: paradne szory, krakowskie chomonty, janczary, itp. Na podwórzu stały wozy parokonne, skrzynie do przewozu ziemniaków, pługi dwu- i trzyskibowe, kultywatory itp. Wszystkie ustawione porządnie na odpowiednich stanowiskach. Na podwórzu dawniej stała też kuźnia oraz znajdowała się studnia z drewnianą cembrowiną i żurawiem, z korytem, w którym poilo się krowy i konie.

Ogrodem warzywnym zajmował się w Siemieniu pan Wysokiński. O ile o pracownikach majątku mówiło się po imieniu lub po nazwisku, to o ogrodniku, nie wiem dlaczego, mówiło się – pan. Tu znów paradoks siemieński. Ten pan Wysokiński był wybitnie niskiego wzrostu. Jego pomocnikiem, a potem następcą, był Wacek Kopytko. Bardzo miły, wesoły chłopak, który drzewka sumaki nazywał „Szymonami”. Zawsze do tej pory tak nazywam te drzewka.

Geodeta, czyli jak się to w tamtych czasach mówiło mierniczym, zajmującym się wszelkimi pomiarami gruntów siemieńskich, był pan Walczyna, a prawnikiem mającym w opiece majątek, adwokat Więckowski. Obaj mieszkali w Radzynie, ówczesnym powiatowym dla Siemienia mieście.

Siemień, jak każdy chyba majątek, miał swoich Żydów. Ja pamiętam starego Chaima Mandelkerna, który był podobno za czasów swej młodości pachciarzem u mego dziadka czy pradziadka. Obok jego domu na wsi mieszkał jego zięć Dawid (nie pamiętam jego nazwiska). Syn tegoż Chaima Leiba był jednym z najbogatszych Żydów Parczewa. Miał podobno prywatny bank i był kupcem rybnym. Kupował ryby z Siemienia i chyba z Tyśmienicy oraz z Komarnego. Inny jego syn Manys był kupcem zbożowym w Parczewie. Jeszcze inny, Jankiel, był sadownikiem w Glinnym Stoku, a najstarszy Herszek, nie wiem co robił (chyba powodziło mu się najgorzej).

Na kolonii siemieńskiej, przy drodze do Czemiernik, mieszkał bardzo biedny Żydek. Nie wiem, jak się nazywał. Pozwalano, aby jego krowa pasła się razem z dworskimi. Sadownikiem w Siemieniu był Żyd o nazwisku Suchar, który dla śmieszności był wielki i gruby. Przez lato i jesień mieszkał z całą rodziną w zbudowanym w sadzie, olbrzymim szałasie z trzciny, której w Siemieniu było w bród.

Następny paradoks siemieński, to iż pierwszy raz w życiu publicznie grany hymn państwowy usłyszałem w wykonaniu orkiestry dętej złożonej z kolonistów niemieckich, którzy mieszkali w niedalekiej wsi Juliopolu i na 3 Maja brali udział w uroczystościach gminnych, naturalnie przy kościele.

Wieś Siemień była zintegrowana, jak się obecnie mówi, z majątkiem właśnie przez rybactwo i wszelkie prace z nim związane. Stali pracownicy mieszkający w czworakach byli do obsługi gospodarstwa rolnego, a nie do rybactwa, poza dwoma rybakami, o których już wspominałem. We wsi Siemień było kilka rodów dominujących. Jak Butrymowie w Wołomontowiczach Sienkiewiczowskich, tak w Siemieniu byli Dawidkowie. Chyba nie przesadzę, że była ich 1/5 czy 1/6 ogółu mieszkańców. Na początku wsi mieszkał Jan Dawidek, który miał sklepik w komorze. Malutki, ale z artykułami najbardziej niezbędnymi w tamtych czasach: sól, cukier, tytoń (papierosów gotowych prawie w tym okresie nie było), bibułka do skrętów, zapalki, nafta - bardzo ważny artykuł jeśli zważyć, że nie było ówczesnie oświetlenia elektrycznego, i drobne cukierki oraz ulubiony przez dzieci kwas - taki napój troszkę gazowany. Przy końcu wsi mieszkał Karol Dawidek, pamiętny dla mnie, bo on tylko bił świnie szwajką, a więc względnie humanitarnie jednym pchnięciem w serce. Byli w Siemieniu jeszcze: Suleje, Przystupy, Kalisze. Przy końcu wsi mieszkali też wspomniani uprzednio Kwiatkowie - Józef i Franek z synami i córkami, Klajda, który bywał kapitanem na „łodydze” i którego żona Kasia pracowała u mojej babki Józefiny Grodzickiej a syn Antek jako akowiec został zastrzelony przez Niemców. Z rodzin,

które pamiętam z Siemienia jako pojedyncze, to Powałka lub Powąło (pszczelarz), Łukaszek, Badurowicz, Pałac, Oleszczuk, Szostak i Karczewski.

DROGI

Drogi z Siemienia na świat były zasadniczo dwie główne, zarówno ze wsi jak też z majątku. Rozchodziły się one od centralnego punktu majątku Siemień, czyli od barokowej kapliczki św. Jana Nepomucena. Były to: Brzezinka (wygon, szeroka chyba na 40-50 m), wysadzana z polecenia mego pradziada Augusta Zaorskiego brzożami, biegnąca ku szosie i Królewska, zwana czasem Kasztanową, biegnąca pod kątem prostym do tamtej w kierunku gminy, wysadzona po obu stronach kasztanowcami.

Z podwórza można było też dojechać do szosy w kierunku Bobowisk tak zwaną Jarzębinówką wysadzaną jarzębiną. Była jeszcze droga zwana „za wsią” biegnąca na ukos też w kierunku szosy i stykająca się u wylotu z Jarzębinówką. Ze wsi można było ewentualnie wyjechać przez rzekę do grobli, ale tylko wtedy, gdy nie było wysokiej wody puszczanej ze stawu na śluzie lub przez młyn.

Od dworu można było także wyjechać przez zimochowy koło młyna, ale z powodu wąskiej w tamtym czasie grobelki był to wyjazd raczej niebezpieczny.

Przez grunty siemieńskie, pola, łąki, rozdzielając gospodarstwa rybne, przebiegała szosa z Białej Podlaskiej do Lublina. Była ona zrobiona z drobnego tłucznia kamiennego posypywanego piaskiem. Na rzece Tyśmienicy w roku chyba 1937 czy 1938 został wybudowany nowy most, naturalnie drewniany. Został on częściowo zniszczony podczas wojny, jesienią 1939 roku. Przy jego budowie znalazło zatrudnienie wielu bezrobotnych, którzy w tamtym czasie krążyli po naszych terenach w poszukiwaniu pracy. Byli to bardzo biedni ludzie, nieraz z inteligenckich rodzin, poszukujący jakiegokolwiek pracy. O tym, aby bezrobotni mieli samochody jak to się obecnie zdarza, nie było mowy. Sprytniejsi potrafili nauczyć się jakiegoś zawodu i w ten sposób zarabiać. Pamiętam druciarza, który wspaniale drutował garnki kamienne lub donice. Przypuszczam, że obecnie ludzie nie tylko młodzi nie rozumieją w ogóle, po co było drutować garnki. Pamiętam specjalistów od ostrzenia noży i nożyczek. Pamiętam niedźwiedznika, który chodził z wcale nie małym niedźwiądkiem na łańcuchu przytwierdzonym do kółka w nosie, tańczącym przy dźwiękach tambury. W tamtych czasach bezrobotni nie dostawali zasiłków. Czasem po prostu prosili o chleb.

Na linii Biała Podlaska - Lublin p. Kierszys uruchomił przed wojną komunikację autobusową. Po wojnie idąc z duchem czasu założył spółdzielnię transportowo-spedycyjną zwaną popularnie „Matysiakami”. Jednym z poważniejszych starszych kierowców w tej spółdzielni był parczewiak p. Apolinary Dziewulski. Mieszkał prawie przy skrzyżowaniu dróg do Białej i Lublina. Mniej więcej tu, gdzie jest teraz przystanek określony „koło ciastkarni”, ale od strony bloków. Pan Dziewulski zatrzymywał tam autobus, aby pobiec do domu po kanapkę. Tak, tak, nie szedł, lecz biegł, bo nie wyobrażał sobie, aby pasażerowie czekali choć troszkę dłużej. Zawsze uważałem, że ten przystanek winien nosić imię pana Dziewulskiego.

Na parę lat przed drugą wojną zrobiono przez wieś chodnik w czynie społecznym. Był to szeroki na około półtora metra żwirowy mocno ubity, ogrodzony od reszty drogi barierką, naturalnie drewnianą. Ciągnął się od domu Jana Dawidka aż do domu Ludwika Dawidka, zwanego czasem trębaczem, czyli do kościoła. Może była to inicjatywa księdza Samulaka. Tego nie wiem. Ale zważywszy błotność drogi przez wieś, chodnik ten bardzo ułatwiał przejście.

DWÓR

W majątku było trzy budynki mieszkalne. Otaczały one kapliczkę św. Jana Nepomucena (nieraz latem chodziłem pod nią odmawiać poranny pacierz), która stała w mini parku akacjowym z alejkami, trawnikami i klombami. Najbliżej niej, właśnie w tym mini parku, stał budynek zwany w rodzinie „Domkiem”, z czterema pokojami, kuchnią, łazienką, spiżarnią, przedpokojem, sienią (wejście do kuchni) i gankiem obrośniętym pachnącym winem.

Całe lato jadało się tam śniadania, obiady i czasem kolacje. Gdy było gorąco, wino pachniało upajająco. Domek był kryty gontem, a ganek trzcina, bardzo popularnym w Siemieniu przykryciem. Był to budynek około stuletni.

Drugim budynkiem mieszkalnym rodziny była „Górka”. Był on na pewno znacznie starszy od „Domku”, kryty chyba cały trzcina, z sześcioma pokojami i przedpokojem zrobionym z dawnej sieni. Każdy stary dom polski musiał mieć strych i sień, w której była podłoga z kwadratowych ogromnych cegieł. „Górka” też naturalnie miała ganek obrośnięty czerwonym winem oraz swój mini park.



Dwór w Siemieniu przed I wojną światową

Dwór, zwany w rodzinie „Dołkiem” z racji najniższego położenia, w okresie wczesnego dzieciństwa mojej matki miał chyba jedenaście czy dwanaście pokoi. Kuchnia mieściła się w oddzielnym budynku oddalonym około 50 m. We dworze był tak zwany kredens, czyli jakby podręczna kuchnia, w której się podgrzewało sporządzone w kuchni i przyniesione potrawy. Takie kredensy były w wielu dworach. Ja sam spotkałem takowe w Glinnym Stoku u kuzynów Zaorskich, w Dębicy, majątku siostry mego dziadka Grodzickiego za Czemiernikami, w Pokaniewie, innym majątku dziadków Grodzickich na Białostocczyźnie. W czasie mego dzieciństwa dwór po przebudowie miał już tylko osiem pokoi. Kuchnia też została przeniesiona z oddzielnego budynku do dawnego kredensu.

Ponieważ od jesieni do zimy było ryb w bród, robiło się z nich przeróżne warianty potraw - karp pieczony na brytfannie żeliwnej, nadziewany kaszą jaglaną z dużą ilością grzybów. Musiał mieć skórkę przypieczoną, chrupiącą. Inną specjalnością, której nigdzie do tej pory nie spotkałem, był kaszanka „biała”, z kaszki manny z rodzynkami. Był to przysmak dla nas, dzieci szczególnie, gdy się ją przysmażyło na patelni.

Tort, jak to na wsi w tamtych czasach, był ewenementem, ale kopa jaj do ciast świątecznych to była rzecz normalna. Obiad bez deseru był nie do pomyślenia. Ale lody były też ewenementem.

PARK

Dominantą parku były trzy piękne aleje szerokości około 5 m i łącznej długości około 300 m, obsadzone wysokimi, starymi lipami. Miały one kształt otwartego prostokąta. Najdłuższą była druga aleja, szczególnie ulubiona przez wdowę po poprzednim właścicielu majątku Augustcie Zaorskim, Sewerynę, secundo voto Ginczelewską, moją prababkę. W rogu drugiej i trzeciej alei stał na jednej nodze, okrągły stół z kamienia młyńskiego. Po tych alejach myśmy jeździli rowerami a na spacer chodziła Prababcia zwana przez nas „Bialutką Babuleńką”. Gdy rano, to znacząco przed obiadem, spotkało się babcię „Bialutką” na spacerze, nie do pomyślenia było, aby tak sobie przyjechać. Należało zsiąść, powiedzieć grzecznie „dzień dobry” i pocałować Babcie w rękę.

Przy końcu trzeciej alei znajdowała się kwadratowa altanka obsadzona leszczyną. Było też w tym miejscu przejście przez płytki, suchy rów na łąkę parkową, porośniętą z jednej strony od rogu krzewami i dochodzącą z drugiej do sadzawki zwanej Kanałową. Z tej łąki wiodły drewniane schody do wydłużonej części tej sadzawki, traktowanej jako miejsce kąpielowe w okresie młodości mojej babki i jej rodzeństwa, czyli dzieci Augusta i Seweryny Zaorskich, a było ich siedmioro. U szczytu tej łąki usytuowana była wielka lodownia w kształcie ogromnego pagóra porośniętego na wierzchu krzewami spirei. Dojazd do niej od dworu prowadził przez alejkę obsadzoną niewielkimi drzewami i krzewami.

W ogóle w parku siemieńskim było dużo alejek. Od dworu w kierunku młyńska, a bliżej do zimochowów, prowadziła alejka-grobla obsadzona z jednej strony kasz-

tanami. Odgradzała ona sadzawkę Kanałową od rowu doprowadzającego wodę z wielkiego stawu do gospodarstwa rybnego po drugiej stronie szosy, czyli Bobowisk. Z drugiej strony tego rowu rósł wysoki grabowy żywopłot, osłaniający od wschodnich wiatrów sad założony przez moją babkę Józefinę de domo Zaorską, primo voto Ostrowską, secundo voto Grodzicką. Sad ten miał chyba około 2 ha i był od strony drogi obsadzony też wysokim żywopłotem.

W szczycie tego sadu była usytuowana piwnica warzywno-owocowa w kształcie krzyża. Miała głębokość chyba około 7 m. Była naturalnie murowana, a dach jej był wykonany z popularnego w Siemieniu materiału - trzciny. Piękny drzeworyt tej piwnicy, gdy dach był pokryty szronem, wykonał p. Alfred Szeliga, kolega ze szkoły malarskiej mego wuja Andrzeja Czarkowskiego, przebywający czasem w Siemieniu.

Sad od pola „za gminą” oddzielał wysoki wał ziemny i suchy głęboki rów. Przed dworem znajdował się klomb zwany gazonem w kształcie zaokrąglonego na rogach równoramiennego trójkąta, lub, jeśli ktoś pamięta jeszcze jak wyglądały wiejskie sery, właśnie takiego sera. Jak sięgnę pamięcią, we wszystkich majątkach, które znałem, były przed dworami klomby otoczone podjazdem, zwane gazonami. Taka była moda. Ten gazon w Siemieniu, jak zresztą cały park, był naprawdę duży. Przecinał go mniej więcej w połowie rowek doprowadzający wodę do sadzawki pałacowej. Sadzawkę tę, raczej niewielką w stosunku do innych siemieńskich, bo mającą około 30 arów i dość płytką - około 1,5 m, okalała alejka zaczynająca się od podjazdu otaczającego gazon koło kępy róż bladioróżowych. Gazon też miał swą rosnącą między rowkiem a dworem kępę róż. Były to, o ile sobie przypominam, dzikie róże. Sadzawka była w kształcie koła dość dużego o średnicy około 6 m. W tamtym czasie na sadzawce tzw. Pałacowej stała też łódka malowana z wiosłami na dulki.

Alejka otaczająca sadzawkę pałacową rozdzielała się dalej na dwie. Jedna z nich, bardziej zadrzewiona, prowadziła w kierunku ogrodu warzywnego zwanego inspektami, o powierzchni chyba około 1 ha, oddzielonego od parku płotem i przebiegała koło drugiej lodowni, też obrosniętej na wierzchu krzewami, nie pamiętam jakimi (jako dziecko saneczkowałem tam z siostrą). Dalej alejka ta dochodziła do wjazdu od bramy ku gazonowi. Druga odnoga tej alejki, raczej kwiatowa, kończyła otok sadzawki i przebiegała koło ogromnego, pochylonego, obrosniętego wysoko bluszczem, romantycznego drzewa.

W pewnym miejscu między okalającą sadzawkę pałacową alejką, a samą sadzawką, rosły wspaniałe świerki i tam między nimi mój wuj Andrzej Czarkowski, malarz, wielki romantyk i samotnik urządził na wysokości kilku metrów nad ziemią taki jakby szałas i nazwał go czatownią. Lubił tam podpatrywać życie ptaków.

Koło pierwszej alei lipowej, w kierunku alejki otaczającej sadzawkę był urządzony kort tenisowy. Za moich czasów już nieczynny, ale wiem, że tam grywała moja matka, jeszcze jako panna Ostrowska.

Równoległe do drugiej alei lipowej za głębokim, ale suchym rowem był drugi ogród owocowy, zwany śliwnikiem z racji rosnących tam wyłącznie śliwek. Dochodził on do samego płotu odgradzającego park od wsi Siemień.

W parku Siemieńskim, poza wspomnianymi już lipami, było dużo starych, wspaniałych jesionów i kasztanowców zwanych popularnie kasztanami. Rosły tam też trzy ogromne białodrzewy nazywane przez nas dzieci baobabami. Było też było kilka dębów i pięknych modrzewi. Między dworem a trzecią aleją lipową, rosły, nie wiem z jakiej racji, trzy piękne, bardzo wysokie grusze o doskonałych, słodkich owocach, zwanych pannami.

Pomiędzy dworem a początkiem pierwszej alei lipowej był taki jakby rozszerzony z podjazdu plac, na środku którego rosła wspaniała, ogromna lipa z wbitym na wysokości około 2 m od ziemi na potężnym skoblu kółkiem żelaznym. Jak niosła wieść rodzinna, do tego kółka przywiązywali lejce swych wierzchowców powstańcy w 1863 r.

Od dworu w kierunku wspomnianej łąki ogrodowej, przy kanałowej sadzawce, był długi na około 100 m, wysoki na około 1,5 m, bardzo gęsty żywopłot. Nie wiem, z jakich składał się krzewów, ale był tak zwarty, że przedarcie się przez niego w czasie zabaw dziecinnych (podchody Indian) było niemożliwe.

Pisząc o parku dworskim nie sposób pominąć znajdujących się właściwie już poza parkiem, ale na terenie majątku, przy skrzyżowaniu dróg od gminy do szosy, na wieś oraz na podwórze, trzech chyba najstarszych, bo największych lip okalających XVII wieczną barokową kapliczkę Jana Nepomucena. Na jednej z nich było gniazdo bocianie. Pomimo tego, że była już poważnie spróchniała od wewnątrz, z tego powodu nie podejmowano decyzji o jej usunięciu.

Cały obszar zespołu parkowego, wliczając w to sadzawkę Kanałową usytuowaną między zimochowami a właściwym parkiem, ale stanowiącą na pewno element ozdobny, wynosił chyba około 15 ha.

WOJNA

Czas wojny to obrazy pewnych zdarzeń. Było jednym z nich wodowanie na stawie siemieńskim hydroplanu. W mediach podawano te informacje, więc nie będę o nim pisał szczegółów. Podam tylko, że widziałem tego ślicznego srebrnego ptaka, gdy wodował i wyłaniał się z tęczy powstałej z uderzenia pływaków o wodę. Potem widziałem jego smutny koniec.

Inne zdarzenie to nagły wyjazd zgromadzonej w początkach września rodziny do Tyśmienicy nocą. Na parę godzin wcześniej został wydany rozkaz przez kogoś chwilowego komendanta wojskowego, aby wszyscy mężczyźni, nie wiem po co, opuścili Siemień. Po paru godzinach ten sam komendant rozkazał, aby wszyscy ze dworu i ze wsi opuścili Siemień, bo tu „będzie straszna bitwa”. Naturalnie żadnej bitwy nie było, za to wysadzono służę. Woda tej jesieni na stawie była ogromna, bo nie była spuszczana jak zwykle. Wylew był straszny. Prawie wszystkie ryby poszły do rzeki. Ludzie z okolic, a nawet z Parczewa przyjeżdżali i brali je po prostu rękami, taka masa była ich w rzece poniżej stawu.

Innym zdarzeniem siemieńskim był fakt przemarszu części armii Kleeberga. Nie wiem, czy sam generał był w Siemieniu, bo wszystko to trwało chyba dwa, a może trzy dni. Później słychać było ciężki ostrzał artyleryjski w okolicy Kocka.

Potem zaś zimą 1941 r. Niemcy wyrzucili nas z Siemienia. To przykre wspomnienia. Zresztą we wrześniu 1944 r. wyrzuciły babkę Józefinę i mnie z Siemienia władze PKWN-u (Rodzice nie chcieli wracać do majątku).

* * *

Moje wspomnienia nie są nostalgią, bo nie tęsknię do przeszłości. Ona we mnie jest. Mam pod powiekami te wszystkie obrazy, o których pisałem. Słyszę lot kaczki czy plusk fali. Widzę „Babcię Białutką” na spacerze z laseczką bambusową. Pamiętam, jak z siostrą brodzimy jesienią w parku, prawie po kolana w zwałach żółto-czerwonych liści klonowych, brunatno-brązowych kasztanowców i żółto-zielonych z lip.

Gdy siedzę przy biurku, nad którym wisi rzeźbiona osobiście przez Matkę półeczka, na której stoją drobiazgi z Jej i Ojca młodości i dzieciństwa, a w rogu „pilnuje mnie” miś – zabawka młodsza tylko dwa lata ode mnie, nad nią są portretowe fotografie Rodziców i powyżej wisi przywieziony z Siemienia autoportret polskiego geniusza nad geniusze Stanisława Wyspiańskiego, całkowicie rozumiem słowa Żuławskiego „Miłość nigdy nie przechodzi”.

Przyroda zostaje. Jest tylko trochę zmieniona, czyli niszczona przez człowieka. Ogrom stawu siemieńskiego uległ znacznemu zmniejszeniu. Białodrzewy-baobaby w parku runęły, podobnie jak brzozy przy Brzezince i akacje oraz dwie ogromne lipy przy figurze św. Jana. Dwór znacznie się zmniejszył. Po „Domku” i „Górcie” nie ma nawet śladu, tak samo jak po zabytkowym spichlerzu na podwórzu.

Wspomnienia snują się jak nitka z kądzieli na kołowrotku. Winna ona być równiutka, cieniutka, ale jeśli ręka, jak moja, jest nie bardzo sprawna, nic jest raz cieńsza, gdy tyczy odczuć czy przeżyć, a raz węzłasta gdy występują nazwiska czy fakty. Ale chyba nie popełnił świętokradztwa, jeśli pozwolę sobie na zakończenie mych wspomnień przytoczyć fragmenty wiersza Wyspiańskiego:

*Po stawie pływają kaczki,
I zboże jak chwieje się,
Modre bławaty, krasne maczki,
puch jak niesie się?...*

*Czyś dopadł gdzie, jak sroka skrzeczy,
w oborze bydło ryczy? –
czyś znalazł wszystkich kopę rzeczy,
które mieć dusza życzy?...*

*Czyś się przypatrzył na obłoki,
jak płyną wiecznie świeże?
czyś już jest młodszy o te roki,
które ci smutek bierze?*

*Czy się już czujesz odmłodzony,
jak chłopiec, jak młodzieniec?
obok żywiołów, dzieci, żony
czujesz się pan czy jeniec?*

*Czyliś odzyskał już swobodę
i myśl, tę myśl pogodną,
i chęć tych dążeń, co są młode,
bo dusza tych jest głodną? ...*

*A gdyś to wszystko już przeczytał,
gdyś wszystko już zrozumiał,
to rozważ, żem Cię listem witał,
jak myślę, jakem umiał.*

(St. Wyspiański „Wierszyk wakacyjny”)